









Brückner A.

Skarby dawnej poezji polskiej.



BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1899. — Tom II.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63  
WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr. 14.

1899.



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 15 Апрѣля 1899 года

6880



---

# Skarby dawnej poezyi polskiej.

---

O literaturze wieku siedemnastego panują dotąd mylne pojęcia. Łączą ją zazwyczaj w sądach z płaską jednostajnością i niskim poziomem czasów saskich; wmawiają w nią, że główną jej treścią były pienia ascetyczne i niezdarne kadzidla możnym (panegiryki), a zwykłą formą pstra mieszanina polsko-łacińska (makarony); wyjmują z niej wprawdzie kilka nazwisk autorów i tytułów dzieł, jako godniejszych uwagi, lecz resztę odsądzają wszelkiej wartości i odprawiają ją do suchych spisów bibliograficznych.

Trudno o większą niesprawiedliwość.

Jak dzieje saskie w niczem niepodobne są do dziejów Wazów i Sobieskiego—tu pełnia życia, poświęcenia, walk heroicznych, tam popielisko, w którym ledwie jaka iskierka tleje, same intrygi rodów wielkich i mocarstw ościennych, a otrętwienie narodu szlacheckiego się wydają; tak samo literatura za Sasów, bez talentów i ruchu, albo ascetycznie spłaszczona, albo na śmieszne pochwały wydęta, nie przypomina w niczem dawniejszej literatury barwnej, głębokiej myślami, ponętnej formą, tryskającej humorem, wybuchającej satyrą, albo skargą, kuszającej się o wielkie zadania, roztaczającej obszerne obrazy. Po-

dobnie jak życie za Sasów, czce i bezmyślne, ostatki świetnej przeszłości dogryza, samo niezdolne do czynu, ugrzęzłe w materyalizmie, nie przypuszczające nawet możliwości odmiany, tak i literatura, dotknięta taką samą kołowacizną umysłową, przerabia mechanicznie dawne szablony, niezdolna do porywu, odganiająca trwożliwie wszelką nowość myśli i formy nawet.

Literatury siedemnastego wieku, bogatej, wszechstronnej, imponującej liczbą i miarą talentów, nie można ani na chwilę zniżyć na poziom saskiej, a przecież dzieje się to mimowolnie powszechnie. Dlaczego?

Przedewszystkiem wina tu literatury samej, dbającej jak najmniej o trwałą po sobie pamięć, trwoniącej bogate zasoby, nie oglądającej się na przyszłość.

Gdybyśmy bowiem literaturę tę tylko z tego, co ona na jaw wydała sama, sądzić chcieli (jak u nas zawsze czyniono), niewątpliwie wypadłby sąd nasz wcale niepoehlebnie i moglibyśmy ją niemal z saską porównać i zmieszać. Bo i cóżby się na nią złożyło? U początków jej znachodzimy tylko Szymonowicza sielanki, naśladowane ze starożytnych, i przekład Jeruzolimy Wyzwolonej; w środku napuszone epepeje Twardowskiego i niesmaczne satyry Opalińskiego; na końcu znowu przekłady Morsztynów lub innych i ciężkie liryki Kochowskiego, a zresztą same piśmięta ascetyczne, o formie haniebnej i myśli poziomej, albo panegiryczne, wstrętne swą treścią i formą zarazem, jedne trywialne i dzikie, drugie przesadą i wyrazem śmieszne. Jak na całe stulecie, byłby to plon nadzwyczaj ubogi.

W istocie zaś tych kilku cenniejszych autorów i kilka dzieł, i owe seciny niezdarnych błahostek, ani wyczerpują, ani przedstawiają nawet umysłowego życia epoki. Właściwe jej skłonności i upodobania artystyczne, najgłębsze i najszlachetniejsze jej myśli, nadzwyczajna ruchliwość jej piór, wszystko, co dla epoki tej jest znamieniem, co jej chlubę i zasługę stanowi, nie zjawiało się w druku, publicznie, dla oka profanów i tłumów, lecz krążyło w odpisach, w szczupłym gronie znawców i miłośników, a później ginęło, nieraz bez śladu i na zawsze.

Nie wiemy, czy jakakolwiek inna literatura świata coś podobnego wykazać może. Gdybyśmy się jeszcze znajdowali wśród grubego średniowiecza, kiedy to kosztownego pergaminu byle czem zapełniać się nie godziło, a sztuka pisania tylko wybranym jednostkom służyła, nie dziwiłaby nas zątrata dzieł autorów, a choćby i całej literatury. Ale w siedemnastym wieku, gdy już od dwóchset lat prasy drukarskie pracowały, papier coraz taniał i wszyscy pisali, liczyć się ciągle tylko z rękopisami, z zaginionymi dziełami i autorami, z unikatami,

z kopiami błędnymi, to chyba bardzo niezwykle zjawisko; a przecież musimy o literaturze polskiej tego czasu powiedzieć, że do dzisiejszego dnia zagrzebana jest w rękopisach, albo i zatracona, że w druku najlepsza jej część, znamienna dla niej, nie istniała nigdy.

Wydobyc ją z zapomnienia i zmieniać zupełnie sąd o niej zaczęto też dopiero w naszym stuleciu, na podstawie rękopisów. W czwartym dziesiątku bieżącego wieku odszukano Paska, a z nim barwne obrazki obozowego życia i zabaw domowych; w piątym, odnalazłszy liryki Andrzeja Morsztyna, odczuto po raz pierwszy i w dawnej poezji żar namiętności; w szóstym zaćmił rycerski poemat o boju Chocimskim całą dawną epopeję, choćby Krasickiego. Potem czas większych odkryć, zdawało się, minął, gdyż pojawiały się tylko drobniejsze przyczynki, np. w „Bibliotece Warszawskiej“ o Morsztynach (Hierominie i Zbygniewie), lub o Karmanowskim. Lecz wszystko to, razem wzięwszy, o zasobach właściwych tej literatury trafnego pojęcia jeszcze nie daje.

W wieku siedemnastym pisywali wiersze i zajmowali się literaturą wszyscy; od Władysławów i Sobieskich począwszy, służyła wena poetycka każdemu na zawołanie; szczególniejszy młody, wrażliwszy umysł rwał się do wierszów, lecz nikt z nich rzemiosła nie robił: więc wierszów ani zbierano, ani gładzono, ani kuszono się o coraz większą doskonałość, wreszcie zapominano o nich całkiem. Taki Andrzej Morsztyn, prawdziwe *ingenium* poetyckie, to typowa postać dla całego wieku. Za młodu pisuje i dobrze i wiele; bynajmniej nie przesadza, gdy do swej lutni się odzywa:

Tyś i mych myśli uciecha jedyna,

Z tobą się szczerą dobramyśl mi wszczyną,

Z tobą zabawa, z tobą próżnowanie,

Za zysk mi stanie.

Lecz w druku, publicznie nie odzywa się nigdy i nigdzie; pisze sobie: „takem sobie w domu gędził, abym zły humor odpędził“. Więc bynajmniej nie dba o swoje rymy; obcy przywłaszczają je sobie i składają innym w ofierze; on sam, zajęty coraz wyłącznie sprawami wielkiej polityki, zaniedbuje Muzy, i tylko czasem jakieś zdarzenie, np. skandal towarzyski, głośnie rymami; Sobieskiemu, choć partyzantowi własnego obozu, nie przepuści przedwczesnych zalotów i urychlonych ślubów z Marysienką (po Zamoyskim) i napisze mu wiersz wcale

uszczypliwy<sup>1)</sup>, albo na rozwód panny Stanisławskiej (z kasztelanem krakowskim, Warszyskim, r. 1669) wygotuje tren-paszkwil. Po latach dopiero, wymuszają na nim nalegania przyjacielskie, że odgrzebie z prochu i pleśni coś z tego, co sam za młodu pisywał, i wydać z pracami innych pozwoli—gdyby nie ta przypadkowa publikacja po latach trzydziestu, bardzo wątpimy, czyby „Psyche“ i „Cyd“ naszych czasów dotrwały. I tak bywa ciągle: dawno już legł wielki rokoszaniec w grobie, a jego przekład „Wiernego Pasterza“ ukrywał się jeszcze zawsze w cieniu domowym. Syn jego, o wiele znakomitszy poeta i prozaik, również prac swych nigdy nie ogłaszał i niejedna z nich, może najciekawsza, zaginęła; inne, np. „Ewandra“, wydarli mu dopiero obcy, przykrząc się prośbami. Za to wychodziły ciągle rzeczy najniepotrzebniejsze i najmarniejsze: panegiryki i ascetyki, które pisało ubóstwo, a drukowała próżność; wtenczas nawet znakomici pisarze, na domiar złego, ogłaszali ze skarbów swoich rzeczy najślabsze, np. taki Potocki, który „Argenidą“ i „Pocztem Herbów“ czytelnika tylko odstraszyć, albo znużyć potrafi.

Cóż za przyczyna tego? Dlaczego pióra tak ruchliwe, a prasy przecież tak puste, albo zawalone samą tandetną robotą? dlaczego tyle rzeczy, przygotowanych do druku, nie pojawiło się wcale, a jeszcze o wiele więcej z góry dla druku się nie przeznaczało?

Poszczególne wieki dziejów polskich od dziesiątego do osiemnastego, od Mieszka aż do Stanisława Augusta, odznaczają się tem, że stanowcze przełomy przypadają stale na połowę wieku. I w siedemnastym nie było inaczej: rok 1648 jest takim punktem przełomowym. Na zewnątrz nie ulega to wątpiwości: nawet w oczach Partę

---

<sup>1)</sup> Znaleźliśmy ten wiersz w dwóch rękopisach p. t. Serenada północna na ślub niezwykle wielkiego stadła, intonowana w Warszawie przy skończonej sprawie (między kawalerem i damą). Kawaler mówi:

Pytam, kiedy to będzie, że na jawi  
Dawna nam Venus przenosiny sprawi?  
Porzućmy przeszłe pokątne zaloty i t. d.

przy końcu dyalogu czytamy: „przed ślubem wesele... przykład mamy nowy, tak się legą sowy“. Również uszczypliwy znany już wiersz na Warszyskich, lecz w drukowanym tekście brak większej jego części.

Otomańskiej i dziczy Krymskiej, potężne niegdyś i groźne mocarstwo północne, przedmurze chrześcijaństwa, po tym fatalnym roku wydawało się, że zostanie łatwym łupem oręża tureckiego. Klęska pilawiecka i jej następstwa, ta rana otwarta, przez którą się wysączyła najlepsza krew polska, zachwiały w równej mierze i umysłowością polską. Różnica między pierwszą a drugą połową wieku, pozornie mniej wybitna, niż np. w wieku następnym, w gruncie równie jest znaczna. Zanika ruchliwość umysłów, swoboda słowa i myśli, ustalają się potworne sofizmata polityczne, rozpościera haniebnym gust literacki; zrozpaczony Potocki odrzuca teraz pióro w głębokim przekonaniu, że każdy głos, prawy i mądry, zamrze bez echa, jakby w strasznej, hirkańskiej pustyni.

Muzom nie sprzyjały już więcej czasy i z każdym rokiem pogorszały się stosunki. Coraz mniej odczuwał ogół potrzebę estetycznych wrażeń: bito się, a potem, gdy pokój wreszcie nastąpił, prawowano, gospodarowano i bawiono się coraz zawzięciej i hałaśliwiej, a z codziennego trybu książka i literatura wymykały się coraz stanowczej. Przerzedzały się z przerażającą szybkością szeregi znawców i miłośników Muz, a dla tych niewielu, co pozostali, jeden lub kilka odpisów dzieł już wystarczały zupełnie; powiewał coraz silniej duch nietolerancyi, askezy faryzeuszkowskiej; nikły i gasły wszelkie światła i rozdzieliła się literatura na drukowaną, szkolarską, trywialną, i rękopiśmienną, w której kryło się wszystko wolniejsze, śmielsze, piękniejsze, cenniejsze; dla druku schlebiał i łgał żak, kaznodzieja i „astrolog“, albo „minucyaryz“; w rękopisie cieszył, skarżył, malował poeta, satyryk, nowellista; tu prawda, humor i piękno—tam przesada, pochlebstwo, maniera; tu poufałe grono znawców, co pracę ocenić umiało i nią się delectowało, tam ogół, który jednak prócz kalendarza, książki do nabożeństwa i awizów z Krakowa, już nic innego nie czytywał.

Literatura nadobna traciła więc powoli a stale wszelką rację bytu. Mógł w szesnastym wieku pracować Kochanowski w przekonaniu, że i wiersze pisząc służy ojczyźnie i zaskarbia sobie uznanie obywatelskie; teraz staje się literatura rzeczą zbytkową, próżną rozrywką dla bogatych i możnych, która innych chyba tylko zawiedzie; więc na wykonywanie, czy podziwianie nie zasługuje. Takim sposobem cofa się literatura, jej pielegnowanie i rozumienie od ogółu i kół najwyższych, i to jest drugie, nadzwyczaj charakterystyczne, w innych literaturach w równej mierze nigdy niepowtarzające się, zjawisko.

Za granicą magnat lub wysoki dygnitarz państwowy sam za pióro nie chwyci, chyba, że napisze pamiętnik życia swego, jakiś memoriał polityczny, lub treści może w maksymach dorywczych własne

i obce doświadczenie; literaci, wielcy i mali, rekrutują się tam z dworzaków, mieszczan, aktorów; nazwy rodów najwyższych błyszczą w wojsku lub przy królach, lecz nie na parnacie. Przeciwnie działo się w Polsce wieku siedemnastego i osiemnastego; tu hasło demokratyczne: szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, popłacało o wiele więcej w życiu literackim, niż potocznem. Wydawało-by się to mniej dziwnem jeszcze za czasów saskich; gdy bowiem oświata najbardziej zagasła i wychowanie zupełnie zaniedbywano, mógł tylko magnat odznaczać się jeszcze jakimś polorem, jakimś znanstwem lub zamiłowaniem do literatury, znajdujemy więc, Radziwiłłów, Wiśniowieckich, Jabłonowskich na czele ówczesnych pisarzy. W wieku poprzednim, gdy wykształcenie przeciętne, a więc zamiłowanie literackie było większem, nie przeważali jeszcze magnaci i na tem polu, lecz i tu się roi pomiędzy literatami od wojewodów i kasztelanów, ba i od ministrów. Funkcye ich zostawiają im nieraz wiele wolnego czasu, a wino i łowy nie zabijają go zupełnie, jak później; jeśli zaś nie sami pisują, zawsze między dworzanami ich znajdują się tacy, coby Muzom dla nich holdowali, szczególnie liczni w otoczeniu Radziwiłłów (birżańskich). Ale nietylko, jak za Sasów, po wielkich dworach i zamkach, lecz jak daleko szlachecka Polska po wsiach się rozsiała, brzmiała teraz lira, a choćby fujarka, i jedynie po miastach, wobec przerażającego upadku ich dobrobytu, obniżenia ich poloru, utraty ich znaczenia, wysychały już zawczasu i na całe dwa wieki źródła Kastalskie.

Otóż ta przewaga żywiołu wielkopańskiego a nawet ziemiańskiego, zadomowionego, starszlacheckiego, odziałała znowu niekorzystnie na życie, tryb i tradycye literackie. Marszałkowi wiekiemu, podskarbiemu koronnemu, czy jakiemu innemu magnatowi, a nieraz i zwykłemu ziemianinowi o aplauzy tłumu wcale nie chodziło; pisząc, nie myśleli oni nigdy o szerszej publiczności, o dedykacjach nowych dzieł i uznaniach albo nagrodach za nie; pisali tylko dla siebie i dla swoich, obsyłali się dziełami nawzajem i wykluczali je z powszechnego obiegu literackiego, w którym powódź płaskich niedorzeczności z roku na rok wzbierała, nie zrównoważona niczem odmiennem, wybitnem, poważnem, panosząca się coraz jawniej, zuchwale. Więc i z tej przyczyny, nietylko dla nietolerancji i zaniku estetycznych popędów, kryła się lepsza literatura po rękopisach i ustępowała z widowni przed bezmyślną gawiedzią, przed motłochem literackim.

Zrozumiemy teraz, dlaczego właściwego życia literackiego, znaczniejszych talentów i dzieł, nie w drukowanej głównie literaturze szukać należy; badajmy je raczej w rękopisach, z nich wyciągajmy na jaw, co dla literatury siedemnastego wieku w najlepszych jego przedstawicielach charakterystycznym było; tylko z tej literatury bowiem

wnosić słusznie możemy o umysłowości wieku, o wykształceniu i wiedzy, o sercu i myśli tych ludzi. I tak roztacza się przed nami cały szereg licznych pisarzy, przedtem wcale nieznanymi, albo dopiero od kilkunastu lub kilkudziesięciu lat na nowo poznawanych. Szereg ten ciągnie się od ostatnich humanistów, rówieśników Kochanowskiego, przez wszelakich przedstawicieli baroku, aż do przekonanych wielbicieli sarmatyzmu t. j. swojskości. Pomijamy przytem zupełnie pamiętnikarzy, których dzieła i po innych literaturach, nietylko w polskiej, zawsze później, nieraz aż po stuleciach, z archiwów familijnych na jaw wypływają, chociaż oni właściwie w Polsce siedemnastego wieku nadzwyczaj liczni, o wiele liczniejsi niż za Sasów. Wykluczamy więc tym razem z literatury pięknej, podobnie jak historyków, takich pisarzy, jak Niemojewscy, Dyamentowscy, Maskiewicz, Marchoccy, Odrowąż, Ossolińscy, Radziwiłły, Poczobuty, Paski, Łosie i t. d.; nie wspominamy również i o dziełach (np. Pawińskiego, W. Potockiego, A. Morsztyna), które, chociaż dopiero za naszych czasów, już drukiem ogłoszone.

Otóż rozpatrując się między tymi zupełnie zapomnianymi pisarzami, znajdziemy wśród nich przedstawicieli licznych rodów znakomych wszelkich stanów i wyznania, każdego wieku i płci obojej, spotkamy żołnierzy i prawników, świeckich i duchownych (ci jednak dopiero za Sasów stanowczo przeważają), katolików i protestantów (kalwini i aryanie, teraz bardzo liczni, zginęli za Sasów zupełnie), magnatów i mieszczan; z jednej familii można się nieraz pięciu, sześciu „poetów“ doliczyć.

Wymieńmyż choć kilka takich, dla dziejów literatury dotąd niemal nie istniejących, nazwisk znakomych pisarzy, np.: Leszczyńscy (wojewoda bełski Rafał i syn jego Andrzej); Opalińscy (oprócz Krzysztofa wojewody, marszałek Łukasz, autor pierwszej oryginalnej poetyki polskiej, przed Boileau, ciekawej satyry p. t. „Co nowego“ i innych); Lubomirscy (Jerzy i syn Stanisław, najwykształceńszy Polak XVII wieku i jeden z najcelniejszych poetów stulecia); Morsztynów aż sześciu, (bo prócz znanych od dawna Jarosza, Jędrzeja, Stanisława, Zbygniewa, i Tobiasza, i Szczęsny wiersze pisywali); Lubowickich również kilku; Wiszowaci; Szlichtyngi (Jan i Jerzy, liryk, autor bardzo udatnych erotyków); kalwin Naborowski, znakomity poeta-dydaktyk, arianin Karmanowski, wytrawny pisarz rzeczy poważnych i wesołych, arianin Przypkowski, znakomicie władający wierszem łacińskim, piszący, acz rzadziej, i po polsku—wszyscy trzej dworzanie Radziwiłłowscy; arianami byli i wymienieni powyżej Morsztynowie (po części), Wiszowaci, Lubowicy. Dalej ze starszych, z ludzi Zygmunta III, Smolik, dworzanie, co pierwszy poezji włoskiej w Polsce swia-

domie drogę torował; słynny rokoszanin, Herbut; kasztelan bełski, Żórawiński, autor wierszów pijackich, a mąż wielkiej powagi (Komisarz pod Chocimem z Sobieskim Jakóbem); kasztelan międzyrzecki, Grodziecki; przewyższający ich wszystkich powagą i urzędem, wpływem i zasługami, podkanclerzy Miński. Dalej Orzelski Stanisław, Arciszewscy (sławny admirał hollenderski, Krzysztof, i młodszy Samuel); Piekarski, piszący stylem oryginalnym, „barską“ polszczyzną, do której i w obozach, i w literaturze barokowej był nawykł, gdy po wieloletnich kampaniach miecz na pióro zamienił. Z późniejszych nazwijmy Stanisława Szemiota, słabszego talentem, pisującego tylko, aby się próżniactwa i opilstwa uwarował, (co zresztą i inni czynili), ujawniającego upadek poloru i smaku. Nierównie wyżej stoją: Andrzej Żydowski, sędzia krakowski; podgórczanin, Sambor Młoszewski, Prusak Trębecki, niestrudzony zbieracz poezji obcych w swoim nieocenionym „Wirydarzu Poetyckim,“ i sam poeta wcale nienajgorszy, i inni. Wymienialiśmy tylko takich autorów, których pisma albo nigdy dotąd, albo wyjątkowo chyba bezimiennie, lub po śmierci dopiero w druku się pojawiały.

I cóż pisali oni i inni, jeszcze liczniejsi, nieraz nam i z imion wcale nieznani?

Najpierw wiersze okolicznościowe. Nie było bowiem zdarzenia w całej Polsce, które-by ich piór nie poruszyło; choćby trybunał kogoś na śmierć zasądził, znalazł się zawsze, ktoby wyrok trenem lub żartem objaśniał, nawet i tak nędznym, jak np. Nagrobek Bokszy, ścietemu w Piotrkowie r. 1634:

Boksza! Bóg sam zakazał zabijać bliźniego,  
 Tyś w łeb trafił z rusznice towarzysza swego,  
 I sprośneś swoją głową często zbrodnie roił.  
 Przeto cię też kat bez niej na on świat wystroił.

Każdy rozwód, każde powtórne zameście odbywały się przy akompaniamencie liry, nieraz bardzo drastycznym i uszczypliwym, niekiedy tylko żartobliwym. Polak, który dla żartu i przyjaciela-by odstradał, nie mógł przecież, gdy np. Firlejówna po Sapieże, Rysińskim i *Ossolińskim* wychodziła za *Opalińskiego* (Łukasza, marszałka), powstrzymać się od żartobliwych żalów nad cną damą, którą np. trzeci małżonek „*osolił*“, coby miał cukrować“, a czwarty „*opalił*“ tak, że już chyba żadnego smaku w niej niema. Albo, gdy się Sierakowski



*Lampart* żenił, posypał się na niego rój epigramów, z powodu *Lamparta*, a on (albo może H. Morsztyn za niego?) każdemu się trafnie innym epigramem złożył. Cóż dopiero mówić o wypadkach publicznych, elekcyach, walkach, zgonach królów czy zasłużonych mężów, projektach dworskich, intrygach sejmowych, konkurencyach o buławę i t. d. Lata bogate w ważne wypadki, taki rok 1648 lub 1649, wzbierają też całym wylewem poezyi okolicznościowej, ale i po drobnych wypadkach spadają nieraz wiersze całym deszczem. Kazał np. hetman Radziwiłł krzyże w Świadości r. 1641 zrzucić, pojawiło się natychmiast czternaście wierszów o tej „Kalwińskiej wojnie z Chrystusem“; przytoczmy z nich choć jeden, krótki:

Nie miał Chrystus, prócz krzyża, gdzieby głowę skłonił,

I tegoć mu pan hetman litewski zabronił:

W Zabłudowie krzyż spalił, wykopał w Świadości.

Pozbył Chrystus, cokolwiek miał tam, osiadłości.

Bezpiecznie panie Dyable! gdy Boga wygnano,

Tem samem—pod twe prawo majętność podano.

Wiersze to bardzo nierównej wartości i rozmiarów; przeważają naturalnie krótsze wierszydła; inne za to wychodziły z pod pióra prawdziwego poety. Tak np. ułożył zgrabny czterowiersz po śmierci Zygmunta, wojewoda bełski, Leszczyński:

*Zaszło słonie* Polacy! umarł Zygmunt Trzeci,

Cóż uczynim? Starszemu tedy z jego dzieci

Złotą koronę włóżmy na królewski skronie

I tak będzie dzień jasny, chociaż *zaszło słonie*.

Dział ten, największej obfitości, obejmuje wszystkie możliwe: opisy i relacje historyczne (wierszami), satyry, epigramy i paszkwile, elegie, skargi i żale, epitalamia, treny i nagrobki. Nagrobki, oprócz w wierszach, piszą i prozą nakamienną, jakby na grobowcu, nieraz kilka stronic pełnych inwektyw albo pochwał, wedle stanowiska partyjnego. Liczne i bardzo udatne pisywał np. kasztelan Grodziecki: obelżywe na Gustawa Adolfa i Waldsztajna, pochwalne na panów polskich; mamy i nagrobek obszerny na brytana króla Zygmunta, Sultana: autor pyta,

czy to nie wróżka losu, że i sami sułtanowie mają kiedyś tem być na dworze Zygmunta, czem ów sułtan mu był. Najślynniejsze z tych nagrobków, najczęstsze po rękopisach, są dwa na nieudałą „Kawaleryą“ (order rycerski N. P. Maryi, który król Władysław i Ossoliński wprowadzić chcieli); grube to paszkwile: jeden zaczyna się „Piis manibus di-vae Cavalleriae,“ a kończy po najdłuższych wyliczaniach, kto i jak ją „zadusił“, szyderskiem westchnieniem: „Niemasz cie, Orszulo moja!“

W wierszach tych spotykamy nieraz i echo rzadszych głosów, przemawiających np. za obiorem cara Aleksego na tron polski; znamy taki wiersz „Kompozyczej Imp. marszałka nadwornego w. ks. lit.“ (Lackiego, autora „Pragnień Pobożnych“, wychwalanego z daru poetyckiego) pod napisem „Alarmo Polskie“ albo pobudka:

Do pałaców, do koni, odważni Polacy!  
 Nieście na szanie swe piersi, nie żałujcie pracy.  
 O wolności gra idzie, o wiare, o prawa,  
 Przy tym trojgu niech każdy syn ojczyzny stawa.

Przestrzega przed rozdwojeniem elekcyi, przed obiorem Galla (kura, który wzleci i nam wolność opluje), przed wojną obu kandydatów, którąśmy utratą Litwy okupić musieli; obierzmy cara, on będzie żył wedle trybu dawnych królów naszych, wrócą się złote czasy, jego wojska nam się bardzo przydadzą, znowu obaczymy rysie, perły, drogie towary, ale cóżby był nam za pożytek z francuskiej ligi, chyba:

Wstażki, perki, flądery i zamorskie figi!

wiersz obszerny i ciekawy—ale podobnych można-by niemal całemi setkami liczyć. Takie i inne mogą też nieraz służyć historykowi, rzadziej dla objawienia szczegółów, częściej dla uwydatnienia nastroju, głosu publicznego, sympatyj lub antypatyj, frakcyj i intryg; pp. Kuba-

la i Korzon korzystali też z nich nieraz, pisząc o Ossolińskim i o Sobieskim.

Poezya religijna równie licznych, równie gorliwych uprawiaczy, bardzo nierównych zresztą talentami i poglądami, wskazać może. Nawoływania do skruchy i poprawy nawiązują nieraz znowu do okoliczności zewnętrznych, do faktów historycznych, np. taki „Kozaczek duchowny pod czas głodem i wojną ściganą Wielkiej Polski r. 1630 o śmierci dumający“, wiersz obszerny i energiczny, którego na próbę początek i koniec przytaczamy <sup>1)</sup>:

Hej przesławny Polaninie,  
 Czym teraz cześć twoja słynie?  
 Czy rycerskim, mężnym bojem,  
 Czy kupnym, krwawym pokojem?  
 Oto w boju i pokoju,  
 Śmiercią giniesz, śmiercią słyniesz,  
 W tej słusznej ojczyźstey krainie.  
 Nie dośc śmierć na tym miała,  
 Że Polaków nazbierała  
 Po niżowych dzikich Polach,  
 W pokrwawionych pruskich rolach,  
 Pobudziła, zajuszyla,  
 Swe rumaki na Polaki  
 Durnego, hardego kozaka.  
 Na karki nam nastąpili,  
 Pod nogami którzy byli.  
 Rycerstwa we krwi polskiego  
 Chłopstwa brodzi złość wszelkiego.  
 Na swe pany lud poddany  
 Następuje, nie folguje,

<sup>1)</sup> Osobliwszą formę wiersza znano i naśladowano wtedy nieraz; np. Jezuita Szembek w „Gratisie wyćwiczonym“ z r. 1627, radzi akademikom na str. 148, aby „sobie onę piosnkę Kozaczeńka duchownego „W piekle być, W piekle być, Przecie żyć, Przecie żyć, Na wieki, Na wieki, często śpiewać dali“ i in.

Okrutny, przewrotny heretyk...  
 Którzy obcych swym żywili,  
 Drobin samych dziś łaknęli,  
 I co chlebem pogardzali,  
 Rzęsę z plewy dziś mieszali,  
 Zamorzani, wysuszeni,  
 Umierają, upadają,  
 Od głodu, od smrodu pożarci...  
 Więc poprzestać już chciej złości,  
 Umieć zażyć Bóg litości.  
 Skoro grzechu pohamujesz,  
 Wojny, głodu nie uczujesz.  
 Śmierci srogie i postrzały,  
 Zdala będą przemijały  
 Dobrego, szczerego Polaka.

Takich, prostotą wyrażenia, a głębokością uczucia nieraz wzruszających wierszy, bywa sporo, w każde ciężkie lata; a ileż-to nie przesunęło się takich lat nad Rzeczpospolitą w ciągu owego wieku. Jeden z najpiękniejszych napisał r. 1661 Zbigniew Morsztyn, gdy spóhwierców, arian, z Polski wygnano:

Obrońco uciśnionych, Boże litościwy,  
 Usłysz krzyk sierot twoich, usłysz płacz rzewliwy i t. d.;

i wiersz W. Potockiego, z tegoż powodu napisany, imponuje spokojem, a siłą i trafnością wieszczęj myśli. Ale religijny nastrój wieku nie potrzebował dopiero gwałtownych wstrząśnień zewnętrznych, aby wylewać się w modlitwie, pieśni, albo badać sumienie lub kajać się znikomością rzeczy świeckich. Z rozmyślań codziennych wynikały owe liczne poemata o śmierci, albo owe waryacye na temat „Próżność nad próżnościami, a wszystko próżność“; końcowy czterowiersz jednej z nich powtarzano nieraz osobno, jako *Nagrobek*:

Bryła ziemie—mój zamek, a pokój—tarcica;  
 Na łokieć ziemie—mój sklep i moja piwnica;

Poduszka—twardy kamień; ubiór—gnoju szmata;

Robak—sługa: tać wszystka korzyść tego świata.

Błagania o odpuszczenie grzechów, gorące śluby poprawy również częste bywały nawet u najswawolniejszych poetów, jak obaj Morsztynowie, Jarosz i Andrzej. Do podobnych wierszy należy np. „Zegar bojaźni Bożej“ (wybijający dwadzieścia cztery godziny), powtarzający się w zmienionej formie jeszcze w drukach XVIII wieku i przystosowany do satyr politycznych, np. na Augusta II:

Zegar bije, wspominaj na ostatnie rzeczy itd.

Zegar bije, już wierni niebo osiągają,

W którym wiecznie królować ze swym Bogiem mają.

Marsowym animuszem brzmi zato „Zaciąg Pana Chrystusów żołnierza chrześcijańskiego“; jest to dyalog między hetmanem (Chrystusem), a żołnierzem (chrześcianinem):

Do mnie, co żywo! wielkiego hetmana,

Onego króla i wszech Panów Pana;

Sam, sam bywajcie, ktokolwiek ściśniony

I od księżęcia świata ukrzywdzony!

*Żołnierz.*

Niech wiem, kto z taką ochotą podnosi,

Chorągiew swoje i na wojnę prosi itd.

Z pieśni do Maryi warto wspomnieć „Pieśń nową, zacnego jednego i z nauki, i z świętobliwości autora, godną u wszystkich wielkiej dziś uwagi“:

Pomni o Matko wszechmocnego Boga,

Jaka Królestwo Polski ściska trwoga!

Pomni a dodaj osłabiałym mocy,

Strapionym łaski, straconym pomocy itd.

Sam tam patrzymy, przy starym frasunku,  
 Sam tam padamy, a mało ratunku,  
 Kajmy się kajmy! a ty miłościwa  
 Królowo Niehios, spraw by ręka mściwa  
 Przez twoję prośbę była hamowana,  
 Tobie u—syna, nam sprawa u—pana itd.

Katolicy i protestanci piszą hymny na dniе święteczne, np. Grodzieckiego „meditacya“ i Rafała Leszczyńskiego hymn na Boże Narodzenie; nawet arianin Przypkowski naśladuje *Tedeum laudamus*, ofiarując je królowi Władysławowi. |

Obok wierszy religijnych jest wiele etycznych i dyalektycznych, w najdziwniejszych nieraz formach. Bardzo popłacało np. „Obiecadio Złote“, przechowane w licznych odpisach; każda strofa zaczyna się od kolejnej litery, np.

*Abys* tylko samemu ufał Bogu swemu!

Pamiętaj nie dufać dziełu człowieczemu.

W tym nadzieję swą połóż, w tym ugruntuj wiarę;

Krom tej wiary na świecie wszystko miej za marę.

*Bierz* się mocno do sławy pocziwej a pilnej itd.

*Cyt* a słuchaj, bo prędzej tak z swojej cichości itd.

*Daje* Bóg większym więcej, przetoż ty większemu Ustąp itd.

*Edykt* Pański ten wyszedł przez króla świętego,

Żebyś serca do bogactw nie wiązał swojego itd.

*Fortunę* możesz stracić, możesz stracić złoto

i tak przez cały alfabet. Daniel Naborowski układał spólcześnie Czwartak, gdzie w każdej strofie po cztery przymioty lub braki wyliczał, np.

Cztery rzeczy na świecie nieoszacowane:

Wolność, nauka, cnota, zdrowie niestargane;

Wolność serca, nauka rozumu dodawa,

Cnota klejnot jest duszy; zdrowie żywot dawa.

Cztery rzeczy ma człowiek i nie ma w całości:

Męstwo, przyjaźń i rozum przy doskonałości  
 Jest mężny na mężnego, jest w przyjaźni zdrada,  
 Błąd się w mądrym najduje, w doskonałym wada.

Czterech rzeczy najbardziej pragnie biała głowa:

Gładkości i z dostatkiem, szat, dobrego słowa,  
 To jej świat, gdy się stroi, gdy za gładką mają,  
 Gdy ma tyle, ile chce, gdy jej dowierzają.

itd. Czwartak również przepisywano jak i Obiecadio Złote; wyszedł nawet w druku, r. 1629, lecz przywłaszczył go sobie Jan Z. Żabczyc. Wedle „Czwartaka“ ułożono i „Trzeciaka“, ale ten nie nabrał tyle rozgłosu. Na wyróżnienie zasługuje „Paidonomia albo sposób życia w towarzystwie“ Olbr. Karmanowskiego, obfity zbiór morałów, rozmaite „Zwierciadła żywota ludzkiego, świeckiego i duchownego“ i inne. Od takich wierszów nie daleki przechód do satyry obyczajowej.

Osobny dział wierszów dydaktycznych mogą stanowić zagadki wierszowane, któremi się wiek siedemnasty chętnie zabawiał, gdy szesnasty prawie ich nie znał; u Kochanowskiego np. jest tylko jedna i to bardzo nieestetyczna. Najwięcej wślawił się nimi Andrzej Morsztyn i ładny ich zbiorek przesłał siostrze; tenże sam zbiorek, z dodatkiem zagadek biblijnych, ofiarował sędziwy Lubieniecki Andrzej pani Denhofowej, a Zbygniew Morsztyn napisał mu dedykacją, w której umieścił i następną piękną zagadkę, jakby z jakiego ludowego motywu zaczerpniętą:

A jako oni, gdy się rozjeżdżali,  
 Dobrzy druhowie, wzajem sobie dali  
 Na niezabudesz, że *gdziekolwiek będą,*  
*Choć w tysiącu mil od siebie usiądą,*  
*Żeby się jedną wodą umywali,*  
*Jednym ręcznikiem oba ocierali*<sup>1)</sup>;  
 Tak i ja teraz (a i toć też gadka),  
 Nie mogąc należeć inszego zadatka,

---

<sup>1)</sup> Dla czytelnika, który-by tej „gadki nie odgadł, nadmieniamy, że ta woda, to rosa, a ręcznik, słońce.

Inszego znaku życzliwości mojej,  
 Któryby ręki był godniejszy twojej,  
 Tenci posyłam itd. itd.

Biblijne zagadki bywają zwykle prozą, np. który łąd raz tylko ujrzał słońce?—Dno morza czerwonego (lub Jordanu), gdy się ich wody żydom rozstąpiły itp.; są i wierszowane, pisano je jeszcze w XVIII wieku, np. Ulryk Radziwiłł (wydał je Załuski w Bibliotece). Ale Morstynowi nikt nie dorównał, chociaż i Potocki, i Kochowski i inni sił próbowali, ich „gadki“ wypadły zawsze o wiele rubaszniej; na przykład przytoczę jedną niewiadomego mi autora, z rękopisu, który ich zawiera więcej:

Córkam rodu podłego, między pany siadam,  
 Wszystkich cichucho słucham, sama nic nie gadam.  
 Ojcam miała głupiego, drągiem go zabiło.  
 Po śmierci wyszłam na świat, zaraz mię powito.  
 Potym za mąż wydano za skrzętnego chłopa.  
 Baba mi ślub dawała, nie czekając popa.  
 Łożnicę nam oboju w łaźni uczyniono.  
 Nagusieńko wyrwawszy na mróz iść kazano.  
 Dziwne jakieś małżeństwo! bo zaraz z łożnice  
 Kazano nam oboju iść na szubienice.  
 Potym nam iść kazano na ognistą zgubę,  
 Na stole położywszy. Mamy z tego chlubę,  
 Żeśmy za czasów naszych wszem byli wysługą,  
 Nie tak im na dzień służąc, jako na noc długą.

Nie trzeba chyba dodawać, że to „ucieszna gadka“ o świecy (wole, łoju i knocie). Podobnych zagadek wiele, na „zegarek ciekący“, o literach i obiecadle, o kałamarzu itd. Inny ich zbiór zaczyna się od szumnej „inwokacji“.

Ziemię i powietrze i morskie przepaście  
 I obroty niebieskie, co ich Bóg ma w garści—  
 Wszystkocie pomierzyli. Gadajcież tę gadkę itd.



Co w siedemnastym wieku zapełniało rękopisy szlacheckie i bawilo dojrzałych, zeszło później do literatury dla dzieci i ludowej: tradycja ustna powtarza do dziś po wsiach zagadki XVII wieku, nieraz w brzmieniu dosłownem; lubują się i dziś w omawianiu rzeczy najpopularniejszych (piasty, maślnicy itd.) sposobem najwzsteczniejszym.

Obok poezji okolicznościowej (aktualnej) i religijnej (z dydaktyczną) nie brak i lirycznej, a przedewszystkiem erotycznej. Ma ona nieraz bardzo praktyczne cele na oku; jest to prostu Korrespondencya, która pieśni powierza, czego usta wymówić swobodnie nie mogą. Np. Zygmunt Lubowicki napisze „elogium“ Wdzięcznej Annie (Wiszowatej) i dopisze później z tryumfem „porzucono, zrozumiano, przeczytano, dziękowano“ --imię jej zdradził akrostychem, często jedynym środkiem, aby dociec, kto lub o kim śpiewa. Jeżeli tajemnicę jeszcze głębiej pokrywać chciało, chwytało się takich środków:

Niech pisze inny mlekiem abo krwawej sokiem  
Cebule i czytają, przypalając okiem,

lecz p. Zygmunt do tego się nie uciekał. Wiersz jednak miłosny nie tylko dla adresantki był przeznaczonym; czy podbój sercowy ułatwił, czy nie, wędrował on w całym orszaku żalów, westchnień, wyrzutów, prośb, między bracią na Parnasie, wywoływał tu pociechy, uwagi, szyderstwa: jednym słowem, cała „batalia afektów“ rozgrywała się w tych wierszach, w których celuje Morsztyn Jarosz, Szlichtyng Jerzy i Morsztyn Jędrzej; Szlichtyng pisze nawet Lekcyje Kupidinowe, które się wtedy bardzo podobały (znamy liczne ich odpisy, odmienne w szczegółach), zalecając je towarzyszom takim wierszykiem:

Ja z Kupidinowej szkoły  
Idąc do domu wesoły,  
Radbym, żeby mej łaciny,  
Nauczył się i kto iny.  
Jeśli dobrze repetuje,  
Niechaj twoją łaskę czuje.  
A ten, komu nie smakuje,  
Niechaj po swemu miłuje.

Skrócony ten kurs miłości, niby Arsa mandi, oddany rzeczywiście nieraz z tym wdziękiem, jakim w wierszach Szlichtyng celuje, wszedł też wcześniej do zbiorów podobnych, ale bez imienia autora. Wypada zdradzić i inną tajemnicę: oto jeden i ten sam wiersz służy nieraz po kolei kilku osobom; Andrzej Morsztyn np. w wierszach, które (przyszłej) żonie ofiarowywał, zastępował jej imieniem (Katarzyną, Kasią), imiona rozmaitych dawniejszych bogdanek—szczerłość afektu nie lada! Jednostajność tematu zmuszała poetów do przesadzania się w conceptach, do śmiałych przenośni, antytez, porównań albo do rozmaitych innych sztuczek poetyckich; jedną, pisanie akrostychów, właśnie poznaliśmy; inną stanowiły „raki“, wiersze czytane odwrotnie z sensem przeciwnym. Pisywał je już Kochanowski; rozkochał się w nich i wiek siedemnasty, używał ich nie tylko przy paszkwilach politycznych (np. na Ludwikę Maryę), religijnych (na mnichów, na Lutrów itd.), ale i w liryce, np. pisząc takie „oferty“ miłosne:

*Sobie jam wolny nie mają mię w mocy.*

*Tobie ja służę nie szukam pomocy*

*Piękności Twojej nie bogactw pilnuję*

*Z gładkości pewnie a nie z szat miłuję*

*Ciebie nie inszą chcę pozyskać sobie*

*Siebie nie innych oddać w służbę tobie*

*Za swego mię miej nie gardź mą szczerością*

*Prawego sobie nie kładź z obtudnością*

*Bezpiecznie mi wierz nie rad ja figluje,*

*Statecznie ufaj nie rad pochlebuję.*

To są zabawki. Inną bardzo ulubioną stanowiły tak zwane anagramy: litery nazwiska układano w nowe słowa i omawiano je wierszami. Wacław Potocki w drugiej połowie wieku szczególnie w nich celował, układał coraz nowe z nazwisk rodzinnych i królewskich (Jan Sobieski—osiane skiby, Michael—jam Lech itd.); w pierwszej połowie wieku kasztelan nakielski, później międzyrzecki, Adam Grodziecki, wszystkich wielkopolskich znajomych, Opalińskich, Leszczyńskich i innych, podobnemi anagramami częstował. Ze swego

nazwiska ułożył „Gromadkę dzieci“<sup>1)</sup> i opisał je trzy razy, dając folgę uczuciu ojcowskiemu i zdaniu się na wolę Bożą, w wyrazach tak prostych a szczerych, że nie wahamy się ich powtórzyć:

- I. Jest to tak, że mi dawa Bóg gromadkę dzieci,  
Z których każde jako ptak ztąd różnie polecie.  
Aby jednak ten lot był każdemu szczęśliwy,  
Lub prędki, lub nierychły, jak ociec życzliwy,  
Boga proszę za nimi: na wolę się dawam,  
Przed którą się nie schronię, ani ich zachowam.
- II. Była z łaski i jeszcze jest i będzie Bożej,  
Gromadka moich dzieci, a drużyny hożej.  
Dał jako Pan i brał też, ile mu się zdało.  
Z jego łaski—i mnie się i niebu dostało.
- III. Dzielił się któryś cesarz z Jowiszem w przemiany  
O pogodę. Ja z bogiem o dzieci przemiany  
Nie potrzebuję żadnej ni dziele dzieciny.  
Z Boga byt na lepszy. Kiedy sam, nie iny  
Bierze, i sam się dam brać, dam i dzieci moje,  
Byle im dał i mnie też miłosierdzie swoje.

Wiersze te znamienne dla osobnego działu lirycznego, nie erotycznego tym razem. Ciekawsze i częstsze bywają liryki sielskie, wychwalania żywota wiejskiego, od „wsi wesołej“ Kochanowskiego jednym nieprzerwanym ciągiem przez cały siedemnasty wiek się snujące, nie owe udane idylliczne zachwyty, jakie osiemnaste stulecie z pudrowaniami i różowaniami berżerami małpowало, lecz opisy natury i jej wdzięków, w których zdrowa cera autora i rzeska myśl jego, szmer

1) Inny anagram z jego nazwiska jest Maciej Dargodzki—pod tem imieniem wydał bardzo cietą broszurę p. t. „Przestroga o tytułach i dygnitarstwach cudzoziemskich w Polskiem Królestwie itd.“ 1634 r., gdzie 50 argumentów przeciw tym tytułom z wielką werwą nagromadził.

ruczaju, ryk bydełka, widzieć i słyszeć się dają. Od owej panny w Sobótkach, co to „wieśne wczas i pożytki“ dosyć wychwalić nie mogła, powtarzała się ta nuta stale; najwcześniej u p. podkanclerzego koronnego, Stanisława Mińskiego, znanego z drogi Rzymskiej r. 1590, znanego i z humorystycznej korespondencji między głuchym a ślepym (on a Samborzecki), częściej po dawnych „Silvach Rerum“. Funkcye poseselskie, na których zdrowie postradał, i służba dworska wykoleiły naszego ziemianina; tęsknocie za wsią daje on więc wyraz w wierszu p. t. „Żywot ziemiański“; to niby parafraza znanego *Horatianum*, *Beatus ille qui procul negotiis*:

Nader szczęśliwy, kto na tem przestaje,  
Co mu ojczysta ziemia jego daje,  
Nie znając lichwy, pługiem ziemię orze itd.

dalej opis przyrody; np.

Owdzie krynice mają swe poniki,  
W potoku szemrzą prądowe kamyki itd.  
Trzykroć szczęśliwy, który to mieć może.  
Mnieś tylko nie chciał dać tego, mój Boże!..  
Siła ma taki, siła, przed inszemi,  
Brzydkich kłopotów niejako chciwemi...  
Óż potem? szczęście drogę zagrodziło,  
Czynię co muszę, nie to, co mi miło!

Równocześnie Daniel Naborowski rozpisuje się szeroko na ten sam temat, w wierszu nadto długim, abyśmy z niego próby przytaczali (zaczyna się: Szczęśliwy człowiek, który, krom zazdrości, Żyje spokojnie na ojczystej włości itd.). Świeżej i barwniej wychwalał później Jerzy Szlichtyng „Szlachecką Kondycyą“:

Pan to wielki, co na stronie  
Dość ma na swoim zagonie.

Czegoż potrzeba,  
Gdy z gębę chleba?

Z dalszych strof wymieniamy jeszcze wyliczenia niektórych rozkoszy wiejskich:

Najdzie w piwnicy Węgrzyna,  
Chmiel wystały. Do komina,  
Niech przykładają,  
A w dudy grają...

Młyn i tracz na bystrej wodzie,  
Jarzyny bujne w ogrodzie,  
Chmielnik tuż w tyle,  
Aż wyrzeć mile.

Miasto blisko, targ niegłodny,  
Kościół doma, sąsiad zgodny,  
Chłopków gromada,  
Cóż wsi za wada?

Wsi cnotliwa, bodaj tobie  
Kwitła sława ku ozdobie!  
Jam twój, tyś moja,  
Mój skarb chęć twoja.

Niechże nam Pan Bóg nędznikom  
Sam błogosławi rolnikom,  
A wy panowie  
Siedźcie w Krakowie.

Wiersz ten byłby i Kochanowski mógł włączyć do Sobótek. Innych podobnych, Hieronima, Zbygniewa i Jędrzeja Morszynów, W. Potockiego itd, już nie przytaczamy. Nic dziwnego, że przy takim nastroju sielankowym nawet motywa pieśni ludowych do szlacheckiej przechodziły, np. w wesołej „pieśni panińskiej, którą młodzieńców zwykły konfundować“:

Pocóżecie przyjechali,  
 Darmo buty wydeptali?  
 Nie pójdę za Wasznic,  
 Bo Wasznic nie masz nic itd.

tak to wyszydzą panny dostatki i urodę pana młodego i družbów, ale ci nie zostają dłużni, śpiewają „respons“:

Chciałem Waśnić mieć za swoje,  
 Lecz się teraz Waśnić boję.  
 Darmo się sadzicie,  
 Już mnie nie zwabicie.

i mszczą się haniebnem nicowaniem kształtów i strojów panieńskich. Nawet owe bezmyślne wiersze przechodzą do śpiewników szlacheckich, np. Stała się nowina tego mięsopusta, Koza z wilkiem tańcowała, wielka to rozpusta, albo: Siekiera się rozbijała, Wisłę przepłynęła, Kobiałka się przeciwiący z pierzem potonęła itp.—nazywają je „dziwy abo absurda.“

Lecz wróćmy się jeszcze na chwilę do liryki erotycznej. I tu ustalają się pewne wzory i formy, jak u trubadurów i minnezyncierów, np. wiersze na dobry dzień lub dobrą noc, widzenie we śnie i t. p. Wiersze na dobry dzień przybierają często formę „hejnału“; wprowadził go pierwszy Hieronim Morsztyn, naśladowali zaś Zbygniew i inni. U Hieronima:

Hejnał świta, już i z morza  
 Rumiana powstaje zorza.  
 Jutrzenka z swojej jasności  
 Rozgania nocne ciemności.  
 Wstaje w lesiech ptak zakryty,  
 Wstaje w lesiech zwierz niebity,  
 Rucha ryba i wół czuje,  
 Że mu praca następuje.

Wstań oraczu, hejnał świta,  
 Ciebie z początku sowita  
 Praca czeka; wstawaj i ty,  
 Rzemieślniku pracowity.

Po rozmaitych wyliczeniach:

Wstawaj panno, hejnał świta,  
 Twój się sługa o cię pyta,  
 I z serca się ztąd raduje,  
 Że cię dobrze zdrową czuje.

Hejnał Zbygniewa o wiele dłuższy (liczy 36 strof), dla szczegółowszego wyliczenia, jakto się Kraków budzi do codziennego życia: jeszcze przed zajęciem zarze odzywają się kotlarze... nawet już do szkoły mali żaczkowie powstawali, i choć najpierwsze zaranie, już wołają o śniadanie itd. Całą skalę uczuć miłosnych, od pierwszego, przypadkowego spotkania, aż do zawodów, zdrady i zazdrości, wyśpiewują nasze pieśni, lecz brak im nieraz indywidualnych rysów, prawdziwego uczucia, szablon zbyt często przeziera.

Liryki erotyczne popłacały jednak tylko do czasu. Kilka lat minęło, a ów młodzian, hołdujący jeszcze niedawno rozmaitym Anusiom, Zosiom i Kaziom, staje się wzorowym małżonkiem; liryka wywietrzała od razu.

Inną za to dziedzina poetycka nęcić go nie przestanie nigdy: dziedzina wesołego, ale jeszcze swawolnego żartu, figla, docinku. O naturze humoru polskiego, który się w tych żartach pojawia, jeszcze obszerniej pomówimy; tu zaznaczamy, że dla żartu tego nic uświęconem nie było; parodyowano nawet pacierze. Nic np. częstszego, jak modlitwy panięskie o męża i odwrotnie; są krótsze i dłuższe litanie tego rodzaju, naprzykład w „litanii panięskiej“ czytamy między innymi:

Miły święty Michał,  
 Abym sobie wybierała  
 A miły święty Antoni,  
 Do mnie przyjechał swojemi,

Napędź-że ich do mnie wiele,  
 A co grzeczniejszego miała,  
 Pomóż, aby z sześciami koni  
 Byle nie pożyczanemi...

Miły święty Hieronimie,  
 Kucharze obiad gotują,  
 Kiedy ono, na kominku  
 Miasto kapłona zagrzeją,  
 Zachowaj mię od takiego  
 Od pijanicy sprośnego

Niechaj w kuchni i kominie  
 Bowiem mi się oczy psują,  
 Piwa tylko kęs do kminu  
 A słudzy się z tego śmieją...  
 Męza melacholicznego,  
 Także i nazbyt tłustego.

itd.; zaś w „litanii młodzieńca“ prosi ten, aby przysłała jego bogdanka była „wzrostu wielkiego... i też wziętku niemałego... i (proszę) Ciebie święty Archaniele, aby dziątek niewiele!“ W pacierzu prosi panna, „abym z dobrym dobytkiem siedmiu pochowała“ i „niech (mąż) nie chodzi rwać ziela na cudze ogrody“ i t. d. Takież same są „Pacierz do stołu dworskie“:

Miła święta Heleno, z miłą świętą Anną,  
 Przeżegnaj nam te kiszki pospołu z brytfanną,  
 Miły święty Adamie z swą małżonką Ewą,  
 Przeżegnajcie co z cukrem i to co z podlewą itd,

a „po obiedzie“:

Który raczył nakarmić, czynim temu dzięki,  
 Że kto oka nie wykłół i nie narznął ręki,  
 Albo kto kogo nie zjadł w tak głodnej potrzebie

itd. Wiersze podobne wychodziły zazwyczaj od protestantów, chociaż właśnie oni (nawet i do dzisiejszego dnia) przy stole pacierze odmawiali: przemagała chętką przedrwiwania kultu świętych. Jak niema *Silvy rerum* bez „rokoszu gliniańskiego“, owego pseudopalladium złotej wolności, tak nie obejdzie się żadna bez podobnych żartów.

Dla spotęgowania komicznego efektu mieszają języki i piszą makarony. W prozie mieszanina polszczyzny i łaciny była nieodzowną, aby nadać mowie lub traktatowi powagę—tak, że mowę posła polskiego w Moskwie, wolał umyślnie od frazesów, słów i derywacyi łacińskich, jako *curiosum* w Polsce odpisywano. W wierszu natomiast



panowała zawsze i wyłącznie najczystsza polszczyzna i niema żadnych wierszów makaronicznych: istnieją tylko od początku XVI wieku osobliwsze makarony, kiedy to poeta „wesolom chwycił piórum, aby śmiesznie zapełniać Kartas“, gdzie obok czystej łaciny wplatał polskie słowa na łady łacińskie. Makarony takie pisuje dla zabawy każdy; wszystkich zaś przewyższa Stanisław Orzelski, czy to narodziny Kalwina w otoczeniu wiedźm i fury piekielnych przedstawia, czy wesele chłopskie wielkopolskie maluje, zakończone bójką homerycznych rozmiarów, czy przypadki dorodnego kwestarza na dworze układnej pani, lubieżnym rysuje pórem; naśladowując Dantego opisuje nawet wędrówkę po piekle, a znachodzi i wylicza w niem nie fałszerzy i opryszków, lecz adwokatów, lekarzy i kupców krakowskich. Makarony pisywali aż do czasów Stanisława Augusta tacy Załuski, Miąsowicz i inni.

Ale makaron to tylko jedna odrośl wybujałego na niwie polskiej komizmu—i bez niego wszędzie śmiechu pełno. Niema poety-szlachcica, który-by fraszek, figlów, dworzanek, drew, czy jak je tam nazywano, nie składał: najpoważniejsi Aryanie i Kalwini ubiegają się w zawody z najpłochszymi: dobry żart—tynfa wart, jedyne ich hasło. Jeśli zaś zbiór pustot wypadnie nadto obszerny i tłusty, dodadzą kilka rzeczy nabożnych, albo wymówią się tem, że „częściej pod dobrą myślą (przy winie), te się nam błazeństwa kryślą“, lub powtórzą Kochanowskiego (a ten starożytnych) o statecznym poecie a swawolnym wierszu, bo u nich „i wiersz niedobry, kiedy nie swawolny.“

Lecz na ich dorobek poetycki nie składają się tylko owe luźne wiersze, jakie chwila czy zdarzenie, afekt czy „dobra myśl“ wywoływały; nie zawahają się oni i przed największymi zadaniami poetyckimi. Tutaj jednak trudniej już iść ich śladami, bo jeśli krótsze wiersze choćby w wyborze do nas się przechowały, większe ich dzieła łatwiej ginęły. Próżno szukaliśmy np. dzieła Łukasza Opalińskiego, o którym Andrzej Morsztyn wzmiankuje („przypominasz tym wiekom, co śpiewano w Troi“), „Moskiewskiej kamienicy“ Skarszewskiego, „Cudnowskiej potrzeby“ Lubomirskiego, licznych chociaż nie zupełnie wykończonych dzieł przyjaciela księcia Zbaraskiego, dzieł niektórych Piekarskiego, kilku Kochanowskich i innych; i to jednak, co po rękopisach pozostało, pozwala nam sądzić o ich estetycznych przekonaniach i o mierze ich talentu.

Uderza przedewszystkiem pewien brak oryginalności. Oni zadawali się albo przekładami z obcych, mianowicie z Włochów: Petrarki, Tassa, Guarina, Aryosta i Marina, rzadziej z Francuzów, albo „przysmaczają“ wierszem polskim nowelle i romanse, dawniej prozą na-

pisane, a zakonnicy i księza świeccy legendy i ewangelie w tenże sposób „przysmaczać“ się od nich nauczają. Wiele z tych przekładów dotąd mało lub raczej wcale jest nieznanymi: w druku pojawił się tylko roku 1618 „Goffred“ i wywarł niezatarte ślady w całej epice polskiej, a r. 1694 „Wierny Pasterz“, Guarina. Ale już na półwieku przed Jerzym Lubomirskim, za Zygmunta III, tłumaczył Guarina nieznamy nam z nazwy poeta (Smolik?) i tłumaczył ładnie, choć wiersze rozmaitej budowy oryginału zastąpił jednostajnym trzynastozgłoskowym: nie napróżno znalazł dramat ów więcej tłumaczy, gdyż jest, mimo swej rozwlekłości, najpiękniejszym i najciekawszym ze wszystkich dramatów pasterskich, o sztucznej intrydze, i dziś jeszcze podobać się może. Kochanowski wytłumaczył Goffryda, ale w rękopisie pozostał Orland Szalony, dzieło o tyle obszerniejsze i trudniejsze do wykonania, w myśli ówczesnego *credo* estetycznego, które przyswajało wszystko, co piękne w literaturach dawnych lub obcych, własnej, nie siląc się na twórczość samoistną.

Cóż zaś powiemy o „Adone“ Marina! Dzieło opiewające w czterdziestu tysiącach wierszów miłości Adona i Wenery, napisane w języku największej „elegancyi“, obfitujące w najsubtelniejsze definicje, opisy, przenośnie, napiętrzone trudnościami, które i dzisiejszy tłumacz nie łatwo przełamie—a przecież znalazł się poeta, który te dwadzieścia pieśni przełożył! bo musiał być poetą, musiała oczarować i olśnić melodia i przepych niezrównanego języka, musiało zhołdować sobie niewyczerpane bogactwo inwencji, epizodów, aluzji, tego, który tę pracę w rękopisie zostawił, tak, że nawet nazwiska jego nieznamy, chyba domyślać się albo odgadywać je musimy. Z tłumaczem tym rywalizował Andrzej Morsztyn, ale on tylko jeden epizod, t. zw. nowelletę czwartej księgi Adona, w swojej *Psyche* wolniej wyłożył. W druku polskim z Marina tylko ten ułamek się pojawił, ale w rękopisach mamy prócz Adona całego i „La strage degl' innocenti,“ z tą jednak różnicą, że Adona świecki, „Rzeź Niemowlątek“ zaś zakonnik przełożył i pięknościom poetyckim oryginału nie dorównał, ani wydołał.

Kiedyśmy już przy poezji epicznej, wspomnijmy, że inwencji Goffreda naśladował wiernie autor (znowu nieznamy) „Obleżenia Jasnej Góry Częstochowskiej,“ poematu w dwudziestu pieśniach, zupełnie do druku przygotowanego (nawet z „rączkami“ dla wskazywania różnicy między historią a wymysłami romantycznymi), mimo to jednak nie ogłoszonego. Bardzo to ciekawa próba przeniesienia żywcem w polską rzeczywistość siedemnastego wieku całej Tassowskiej tkaniki z miłości i zazdrości, zdrad i czarów, walk i ucieczek—romans jakby „Potop“, tylko bez Zagłoby. Zjawiają się przy końcu stule-

cia i pierwsze romanse prozą, „Romans o Bonie“ i „Romans o Don Pedrze“; pierwszy oryginalny, z wycieczkami antyklerykalnemi, lekceważący historję (jak wszystkie późniejsze tak zwane historyczne romanse); drugi tłómaczony, choć oryginału nie znam. Tu można wliczyć i „Ogród Różany“, tłómaczony z perskiego, wierszem i prozą; „Bohatera Straszego“ p. Piekarskiego i inne.

Przeważają jednak romanse w wierszach; wzorowano je na „Banaluce“ Morsztyna, albo na „Paskwalinie“ Twardowskiego; tak przewierszował Potocki „Argienidę“, a za Sasów jeszcze Jabłonowski „Telemaka;“ tak napisał Potocki „Syloreta.“ Podobnych wierszowanych romansów i nowelli znajdujemy po rękopisach o wiele więcej: czerpią je H. Morsztyn, St. Lubomirski, W. Potocki, Korczyński, Szemiot i inni nieznanani nam z nazwiska z Biblii (Judyta); z „Metamorfoz“ (Orfeusz i Eurydyka); z „Liwiusza“ (Wirginia, Horacyusze i Kuryacyusze); z dziejów społecznych obcych i polskich (Tresa i Gązela), nowelle Drobiszewskiego; z „Dekameronu“, z „Siedmiu Mędrców“; z romansu francuskiego; Szemiot wierszuje nowelle, pisane prozą, jakie znalazł w „Antypastach“ Morsztyna.

Z tą epiką romansową należy połączyć epikę historyczną, owe liczne i obszerne dyaryusze i t. d., począwszy od Pielgrzymowskiego legacyi moskiewskiej, a skończywszy na Wojnie Chocimskiej Potockiego, na relacjach o wyprawie wiedeńskiej, o „wejściu i wyjściu Żmudzi z opieki szwedzkiej“ itd. Tu należą: autobiografia Stanisławskiej, „Transakcyja jednej sieroty“; dalej powieści z tradycyi familijnych (Daniłowiczów, o Mścicielu; Kalinowskich, o ślubach kazirodczych i inne), ks. Drobiszewskiego itd. Wreszcie staje obok epiki romansowej i historycznej religijna, dzieło małego zazwyczaj natchnienia, lecz wielkiej pobożności za to, nieraz rozmiarami olbrzymie, np. takie „Nowe Niebo duchowne, słońcem, miesiącem i wielu różnemi świętymi gwiazdami jasnie oświecone, a nabożnym wierszopiskim piórem... wyraźnie pokazane“ r. 1692—zbiór dziejów Zbawiciela, Matki Boskiej, apostołów i wielu świętych, między nimi patronów polskich, dzieło jakiegoś Bazylianna, obejmujące niemal do pięćdziesięciu tysięcy wierszów (nie pierwsze zresztą tego rodzaju, poprzedziła je np. „Lutnia Apolinowa“ Łazarza Baranowskiego), a to tylko część poetyckiej spuścizny zacnego zakonnika, którego i po imieniu nazwać nie umiem, (przecież nie Drobiszewski, piszący całkiem odmiennym stylem)? Przytoczę choć słowa autora o sobie samym ze wstępu:

Już trzykroć sto tysięcy rytmów przeminęło,

Które się w różnych moich kartach przewinęło.

Więc przynajmniej niechaj te daremnie nie giną,  
 Ale się w Świętych Bożych pochwały zawią...  
 Mnie zaś w nagrodzie pracy dosyć tego będzie,  
 Gdy chwały Świętych Bożych z rytmów mych przybędzie,  
 Którym dlatego według możności swej robił,  
 Abym Bogu i Świętym chwały przysposobił...  
 Będą mnie różni czytać i młodzi, i starzy,  
 Lecz któż wie, jak się komu moja muza zdarzy?  
 Jedni będą ją chwalić, a drudzy zaś zganiają,  
 Bo jeden lubi Pana, a drugi zaś Panią.  
 Owemu się koncepta nie upodobają,  
 Temu rytmy do smaku nie przypadają,  
 Innym się zdadzą słowa niepolitycznymi,  
 I będą ich dożywać kłami krytycznymi ..  
 Komu co się podoba niechaj zdrów zażyje,  
 A kto ochotą gardzi, niech ciągnie za szyję...

„Kwiat wieku autora usycha, głowa pracami zwątlona, trudną robotą była, więc i ochota w rytmach nudna, bo i wiersze nie słodkie, pisane w serca gorzkości, i

jako kondycya moja nie światowa

Tak i kompozycya rytmów nie takowa...

Pomni (Zoilu) na te blahe moje prace,

A rzecz za mną do Boga: *requiscat in pace Amen.*

Pod piórem „światowych“ pisarzy nawet epos religijne przybierało odmienne, wcale nie ascetyczne rysy; taki „Tobiasz“ np., Lubomirskiego tonem całym Aryosta i Marina, nie Biblię, przypomina, nawet zaczynanie każdej pieśni oktawami moralizującymi, ogólnikami, przypomina obu Włochów; i Krasicki, np. w Myszeidzie, tegoż samego tonu, za ulubieńcem swym, Aryostem, się trzymał. „Tobiasz“ pisany tak żywo i barwnie, z zacięciem humorystycznym, z satyrycznymi wycieczkami przeciw nowomodnemu Waszmościaniu np. i innym przywarom, że i dziś z wielką przyjemnością odczytać się daje, odskakuje też rażąco od całej ascetycznej literatury i ujawnia pióro, zaprawione na

erotykach i na epice włoskiego Seicento. Za Lubomirskim poszedł Wadowski, a jeszcze ściślej Chrościński, tak dalece, że np. „Anama“ wydrukowano w XVIII wieku raz jako dzieło Chrościńskiego, drugi raz jako Lubomirskiego: rzecz ta o dziewięciu pieśniach nieco słabszą od „Tobiasza“ się wydaje, mniej w niej ruchu i czucia, może więc nie wyszła z pod pióra wielkiego marszałka.

W literaturze siedemnastego wieku epika znowu zaczyna przeważać i przygotowuje się jej wylew późniejszy, chociaż nastąpił w końcu w formie innej, już nie związanej więcej. Obok jej bogactwa w Polsce przedstawia się literatura dramatyczna bardzo skromnie, co nas nie dziwi, gdyż w szlacheckiej Polsce, rozsiadłej szeroko po wsiach, nieskupionej po miastach, lub u dworu królewskiego, miejsca dla teatru właściwie nie było, więc i wena dramatyczna nie popłacała. Luźne próby, przedstawienia sceniczne, urozmaicające festyny dworskie np. za Jana Kazimierza i Michała, trupy zagraniczne bawiące w kraju chwilowo, nawet stały balet warszawski z operą włoską i upodobanie pojedynczych królów (Władysława), lub magnatów (St. Lubomirskiego) nie wystarczały w końcu, aby stworzyć teatr polski, ledwie przysposobiły grunt pod przyszły zasiew sztuki dramatycznej. Jedyne sceny, podtrzymujące jakąś tradycję i rutynę dramatyczną: ludowa nabożna (w szopkach i misteryach) i szkolna (dIALOGÓW JEZUICKICH I AKADEMICKICH), stały już poza obrębem właściwej literatury i sztuki. W dialogach, których nie drukowano nigdy, chyba scenarya ich rozdawano gościom niby afisze, zajmują nas najwięcej tak zwane „intermedya“, to jest sceny komiczne, całkiem luźnie wstawione, urozmaicające tragiczną akcją, ponieważ figury ich, a czasem i całe motywa, wzięte z życia ludu, wieśniaków, żydów, kozaków, cyganów i t. d., przedstawione żywo, komicznie, rubasznie. Intermedya poznajemy niemal wyłącznie znowu z rękopisów, lecz ocenę ich do rzeczy o humorze staropolskim w ogólności odsyłamy. Najlepsze próby komedyi i dramatu artystycznego wiążą się z imionami Morsztynów i Lubomirskich; Stanisław Lubomirski nie zadawała się nawet przekładami, jak współcześni, lecz próbował własnych (?) i w dramacie pasterskim (Ermida), i w komedjach: włoskiej (o Lopesie) i hiszpańskiej (o Guzmanie); lecz rzetelnego talentu dramatycznego nie wykazuje, czy to nowellę z Dekameronu, czy temat o rozłące małżonków i poznaniu się ponownie za pomocą pierścienia dyaloguje; w pierwszej prześciga rozwiążłość Bokacyusza, a drugą przeplata wcale rubasznymi dowcipami domorosłego humoru; obie pisane prozą, jak niejedyn spóczesny dramat włoski, Ermida naturalnie wierszami; tu należą Aminta (Tassa) w przekładzie A. Morsztyna, tragedia Molenty w przekładzie Smolika i inne.

Lecz ponad tymi wszystkimi poetami i prozaikami góruje *Wacław Potocki*. Gdy tamci: Lubomirscy, Morsztynowie, Żydowski, Sambor, Młozowski i tylu a tylu innych, literaturze hołdowali tylko dorywczo, w chwilach wolnych od zajęć i kłopotów, Potocki lata swe dojrzałe poświęcił całkowicie ulubionej poezji, w niej upatrzył swe powołanie i nie myślał już o innem. Więc u samego schyłku lat siedemdziesięciu pięciu szykuje jeszcze do druku dwa utwory wielkich rozmiarów „Poczet Herbów“ i „Argienidę“; u innych choć je z druku wyklucza, wygładza ostatecznie formę, porządkuje materiał gromadzony przez lat kilkadziesiąt i sporządza staranne jego odpisy. Tak powstają w latach 1690—1695 dwa olbrzymie zbiory „Ogrodu Niewyplenionego“ i „Moralistów“, ostatnie a zarazem najciekawsze z tego, co nam poezya XVII wieku przekazała.

Pierwszy, to nieprzebrana kopalnia fraszek, żartów, wierszy okolicznościowych; drugie, wiersze dydaktyczne, przeplatane dla urozmaicenia opowiadaniem, bajkami, facecjami; oba zbiory razem liczą około stutysięcy wierszy, z których dotąd tylko drobna cząstka, wybrana jednostronnie, w druku się pojawiła. Całość stawia Potockiego na czoło dawnej literatury: byli wprawdzie więksi od niego artyści, ale żaden nie zespolił w sobie ani wydał tego wszystkiego, czem Polska szlachecka żyła i oddychała, jej ideałui tradycyi, cnót i wad, trybu życia i myśli, ruchu i mowy, tak doskonale i tak wyczerpująco, jak pan eks-podczaszy krakowski. Gładziej utoczyć wiersze, ponęta zmysłowości je zaprawić, kwieciami poetyckimi obrazów i przenosi je obficie potrząsać, na to stać było poetów spółczesnych aż nadto; ale ovladnąć całym bogactwem języka, trudzić się niezmiernie i doskonalić, służyć myśli poważnej, a przede wszystkim, wszędzie i zawsze wyrażać szczęśliwie i dobitnie swojskość i narodowość, temu nie podolał z nich żaden w równej mierze: ani Kochanowski nawet dawniej, ani Krasicki, nie są tak wyłącznie narodowymi, nawskroś polskimi, tak wolnymi od wszelkiej naleciałości obcej, jak właśnie Potocki. I on się wychował w szkole klasycznej, i on podziwiał Rzymian, przejął się ich stylem, estetyką, mądrością życiową — mimo to jednak całą istotą swoją wyrósł na gruncie chrześcijańskim i polskim; jego rozwiązość nawet (w wierszach) nie ma żadnych cech humanistycznych, tak jak jego poglądy religijne i społeczne wolne od przysąd antyku. Same wiersze Potockiego — i one jedyne — starczą na najdokładniejsze wycieniowanie dawnego szlachectwa polskiego; jedyny doskonały sarmata w literaturze, świadek za całe stulecie najprawdziwszy, to Potocki.

Sarmatyzm jego — to nie owa późniejsza zakostniałość, ubóstwianie mniemanych cnót i wolności, owe narowy anarchiczne w instytu-

cyach politycznych, społecznych i familijnych; przeciwnie, ostro i śmiało zwraca się on przeciw wszystkiemu, co złe lub zdrożne w państwie, Kościele, rodzinie. Dzieci każe miłością, nie batami wychowywać (w czasach wszechwładnego panowania monitora boćkowskiego w domu, szkole i po dworach); chłopów uczy przygarniać jak bliźnich i braci (kiedy ich sprzedawano lub katowano jak bydło); przeciw powierzchownemu nabożeństwu protestuje wymownie (kiedy posty i dróżki całe chrześcijaństwo stanowiły); szlachtę odrywa od roli (gdą wszyscy gospodarowali zawzięcie); królów nie każe obierać, lecz każe się im rodzić, choć wszyscy go starym błaznem obzywają. W licznych satyrycznych obrazkach, jakie o szlachcie i rządzie (albo nierządzie raczej) Potocki nakreślił, brak pozytywnych danych, nie przedstawiał projektów reformy, nie lepił żadnych programów—boć to właściwie i nie zadanie satyryka. Ale przez to samo, że ciągle i wszędzie wystawia nieodzowność tronu dziedzicznego, że zwalcza elekcye i fakcye z niemi złączone, wznosi się on wysoko nad wszystkimi dawnymi statystami, nie wyłączając ani króla Leszczyńskiego, ani pijara Konarskiego, bo łatwo zrozumieć, że każdy król, byle dziedziczny, i aukcye wojska, i ograniczenie *liberum veto*, i reformę skarbową przeprowadzić mógł. Że i w nim wszechmoc hetmańska, szczególnie zaś dożywotność urzędu, wielkie budziła obawy, świadczy również o trafnym zmyśle politycznym: niebawem przyszło do tego, że się hetman za osobny stan (obok króla i senatu, szlachta już nie wchodziła w rachubę) uważał.

Również imponują nam religijne przekonania autora, głębokością, szczerością i prawdą. On katolik, sekt się wypiera, ale sumień gwałcić nie pozwoli; dobre uczynki, posty np., utrzymują mu ciało w karności, ale ducha mu nie zastąpią; ascetą nie jest, świata i darów jego używać każe, ale rozbrat między nauką a życiem gorszy go stale. Stąd liczne i cięte inwektywy na rozwielnione duchowieństwo, niepomne obowiązków, chciwe, światowe, od ewangelicznej prostoty dawno odbiegłe. Ale właśnie te inwektywy utrzymały dzieło Potockiego w cieniu domowym. Dla większej nieposzlaki używał on nieraz formy dysputy między protestantem a katolikiem, to jest sobą, lecz silniejsze argumenta wywodził po stronie przeciwniej i spór zostawiał umyślnie w zawieszeniu. Otóż w czasach, kiedy to taki biedny Łyszczyński na stosie sponął, nie było całkiem bezpiecznem wychylać się z podobnemi przekonaniami, i tak więc najciekawsze, najcenniejsze dzieło XVII wieku ocalało tylko w jedynym rękopisie.

A niema tam tylko dysput teologicznych i traktatów społeczno-państwowych (choć wiersze: Na Kaduki Aryańskie, czyli kto duży ten lepszy, i Braterską Admonicą do starszej braci, do pereł da-

wnej literatury zaliczyć można): są obrazki i facecye niezliczone, w których odzwierciedla się i przesuwają kalejdoskopem cały byt staro-szlachecki, hałaśliwy i poważny, szczery i obłudny, rubaszny i kłiwy. Nęcą nas karty Paska, dobrodusznego raczej w piśmie, niż w życiu, pi-szącego mową mieszaną albo wierszem niezadarnym, nie bystrego, ani ukształconego; o ileż większe i niezmaczone nasze zadowolenienie, gdy przenosimy się za Potockim wstronę podgórskie, malownicze, choć nie-urodzajne, pełne zbójów i wilków, przykre długą zimą, wichrami i ule-wami; gdy zjeżdżamy z nim do Proszowic na sejmiki gwarliwe, gdy ko-łujemy po bruku Krakowskim, Lubelskim i Warszawskim, gdzie ga-wrony za mazowieckie kury uchodzą, a kije „ręcznikami“ zowią; do Kijowa nawet zaglądamy i na Litwę. A przewodnik nasz—umysł nie-pospolity, dziwną wymową za serce chwycić umie i mądrą myślą do przekonania trafić, i choć sam, po stracie wszystkiego, co miał miłego, przez łzawą zasłonę na świat patrzy, nie traci wobec nas jowialnego, rubasznego humoru, i roześmiejemy się z nim serdecznie, czy o ułomno-sciach i przywarach, czy to o trafunkach i wykrętach różnych łgarzy i tchórzów, mędrków i nieuków, sknerów i Urowieskich (utracyusów) młodych i starych, dzieci i niewiast, frantów i błaznów, Włochów i Wę-grów, Niemców i Francuzów opowiadać nam będzie. Jest w nim i w dziele jego potrosze, i Reja, i Zagłoby, i Pana Podstolego; wiedza znaczna, szlachetne serce, niewyczerpana dobra myśl, doświadczenie ob-fite, sztuka wysłowienia wreszcie składają się na dzieło, któremu inne literatury słowiańskie nic podobnego przeciwstawić nie mogą, z któ-rego czasy i ludzie jak najlepiej poznajemy.

Wyliczyliśmy, unikając umyślnie wszelkich cytacyi (prócz kilku drobno-stek), cośmy z nieznanych lub zapomnianych rękopisów dawnych dla literatury siedemnastego wieku dotąd wydobyli, chociaż wszyst-kiegośmy nie wyczerpali. Pominęliśmy rzeczy nawet ciekawe, lecz zdefektowane, między innymi np. opowiadanie jowialne o drodze kilku szlachciców (na Szczebreszyn), aby królowi (Michałowi) się pokłonić: przygody najpospolitsze, zmylenie drogi, noclegi u okolicznej szlachty, zalecanki dworskie, wyrażone tak dobitnie i humorystycznie zarazem, z taką werwą stylu i potoczystością wiersza, że się szczerze żałuje za-tracenia ich początku. Sam fakt, że rzecz tak błahą kilkuset wiersza-



mi tak dobrze opowiedzieć umiano, dowodzi wierszomania, jak znano się na wierszach, jak je ceniono.

Nie rzadkością bywają więc i spory literackie. Nowy talent budzi oczekiwania, podoba się, przekładają go nad dawniejszych, a obowiązkową miarą estetyczną bywa dla nich Kochanowski. Więc, gdy np. Sierakowski Jarosza Morsztyna nachwalić się nie mógł, odpisał mu (wojewoda poznański, Ostroróg?) „Paralelą Kochanowskiego i Morsztyna“:

Lampart chwali Morsztyna, siła mówi o nim.  
 Ja go nazad odsyłam, bo mi już nic po nim.  
 Przekłada go we wszystkim nad Kochanowskiego,  
 Ja mam za kpa Morsztyna i Sierakowskiego.

Podobnie obruszył się Andrzej Morsztyn na jednego z Kochanowskich:

Młódz naszą coś przywiódło do wierszów swolonych...  
 Rzuć się chyża młodzi na poetę tego,  
 Niech swym wierszem nie nęga Polaka sławnego,  
 Którego wnukiem będąc, lecz raczej wyrodkiem itd.

Liczą się z literaturą, kolegami na Parnasie, więc np. w „Lekcyach Kupidynowych“ odwodzi Szlichtynga Jerzego Wenera od eposu,

Niech to *Grochowski* z *Kochanowskim* śpiewa,  
 A stąd się *Bielski* niech lauru spodziewa...

zwraca go do źródła liryki erotycznej, w którym też uczony

Zamaczał głośne *Kochanowski* strony;  
 I dziś się z niego szczęśliwy wesolo  
 Napija *Morsztyn*, a jam mu na czoło

Kosztowny wieniec zdawna zgotowała,  
Jakiegom jeszcze żadnemu nie dała itd.

Dlatego nieraz wyliczają rówieśników hołdujących Muzom, Starowolski, Orzelski, Morsztyn Andrzej, Kochanowski i inni; Orzelski wylicza i Włochów, których widocznie nietylko z nazwiska znał. Na Parnasie tym niema dalej różnic co do wieku, wyznania albb stanowiska, tu rozstrzyga jedynie talent i nie zawaha się p. kasztelan bełski (Żórawiński) skromnie ustąpić miejsca mizernemu dworzaninowi Radziwiłłowskiemu (Naborowskiemu):

Nie moje przedsięwzięcie spotykać się z tobą,  
Jam laik, a tyś polskich poetów ozdoba i t. d.

Albo arianin Karmanowski wysławia poetycką zasługę kawalera maltańskiego w przekładzie „Goffryda“. Koledzy z Parnasu obsyłają się nowemi utworami, a miłośnicy Muz starają się o odpisy: poucza nas o tem Trembecki np. w przedmowie do swego „Wiryardza“ (1675 r.) zapewniając między innymi, że:

Nie jednę noc nad tym się nie spało.  
Nieraz do końca przywiedzione dzieło  
W cudze się ręce przez kradzież dostało.  
To jak *na nowe znowu się modliło*  
*Komu, że to być koniecznie musiało*  
*U mnie.* Więc to zaś często się trafiło  
Komu darować, to bratu, to swatu,  
A ty jak ślepień od lata ku latu...

Ludzie się bardzo na księgę łakomią, a rodzą się w lipcu (żeś przylepia się do nich wszystko), więc jeśli i nie ty mnie ją zgubisz, któż wie, że ją tobie

Może kto zemknąć, aż *moje roboty*  
*Lat kilkunastu oschną u niecnoty...*

Jeszcze gdyby to zemknął który taki,  
 Coby się na tym znał albo rozumiał...  
 Lecz gdy to szuja porwie ladajaki,  
 Co ledwie kozie ogon związać umiał,  
 Raz przeczytawszy rzuci... że o tem nikt nie powie żywy.  
 Lub tam za podłej bzdęgi gdzie szklenicę  
 Mędrszemu nad się bibie da do ręki..  
 To tu ja... dyabłabym wskórał a drugiego wygrał itd.

W podobny sposób powstawały i inne zbiory: jak mowy weselne i pogrzebowe, recepty i przepowiednie, rady Kalimachowe i rokosz Gliniański, tak wpisywała szlachta i wiersze w swoje *Silvarerum*. Czasem wyłącznie dla wierszów zbiór przeznaczano, częściej jednak mieszano wszystko w „*alla potrida*“; na *Jocoserya* np., założone roku 1630 dla Wojnów, składały się pierwotnie tylko wiersze z rękopisów i druków; *Torbę Dworską* zaś, układaną społecznie dla p. Aleksandra Bełzeckiego, wypełniały wiersze i proza na przemiany. Podobnych rękopisów mieszanych, zbiorowych, zachowało się do dziś wiele i po zbiorach prywatnych pod najrozmaitszemi nazwami, zwykle łacińskimi: *Spizarnia fraszek*, *Silva variarum curiositatum*, *Omnia et nihil*, *Penusynopticum* (Różyckiego), *Vade mecum* (Pawła Ujejskiego) itd. Lecz zbiorowe te rękopisy nie są nieraz wolne od wielkich wad. Pomijamy same błędy odpisu, z nieczytelności oryginału lub z nieuwagi i pośpiechu kopisty powstałe, a tak częste i dotkliwie, że rzadko można znaleźć dwa odpisy, coby się zupełnie zgadzały. Nieraz, np. w kilku poezjach A. Morsztyna brak i całej połowy wieszczą. Przy wierszach nie wymieniają zwykle żadnego autora, ale, co gorsza, mieszają je najczęściej jakby groch z kapustą; w *Jocoseryach* np. pogmatwano wiersze Morsztyna (Jarosza), Naborowskiego, Szlichtynga, Smolika i innych; inne rękopisy wypisują nieraz nazwę autora, ale mylną, np. „*Szlachecką Kondycyą*“, którąśmy wyżej przytoczyli, udają za wiersz „*Księdza Jarosza Morsztyna*“, tymczasem ów Morsztyn księdzem nie był (o „*parafii*“ swojej tylko żartem mawiał), a *Kondycyę Szlichtyng* napisał.

Nowsi wydawcy nie zważali na to, i tak czytamy w warszawskich wydaniach poezji Morsztyna Andrzeja i Wacława Potockiego wiersze obcych autorów (Naborowskiego i innych), obu mylnie przypisane. Przytoczę przykład. P. Kubala, mówiąc o córkach Ossoliń-

skiego, wymienia „ładny wierszyk“ na jedną z podkanclerzanek, pióra Andrzeja Morsztyna, z warszawskiego wydania. Ale wierszyka tego, rzeczywiście wcale zgrabnie utoczonego, nie napisał Morsztyn młodziutki, bawiący wt. dy może za granicą, tylko Andrzej Leszczyński, krewny Ossolińskiego, zwracający się do niego często z wierszami: gdy na zamku niedawno powiedziano, że Polsce nie masz nad podkanclerzanekę, on tego nie wie, lecz to nie zgoła:

Że gdyby skrzydła wzięła od anioła,

Potrzeba-by im odmienić imiona:

Nią-by był anioł, a aniołem ona.

A kiedyśmy już wspomnieli Andrzeja Leszczyńskiego, to przytoczymy jeszcze na dowód, co za głębokie myśli i trafne uwagi w formie lekkiego żartu ci ludzie podawać umieli, ustęp końcowy z jego opisu ogrodu Klimuntowskiego (Ossolińskich). P. wojewoda derpski wychwalał był niedawno ogród Zaklikowskiego jako jedyny w Polsce, lecz zobaczywszy teraz Klimuntowski, stawia go o wiele wyżej, jak się nad bogacza jeszcze większy bogacz znaleźć może:

A ktobykolwiek przeczył temu z ludzi,

Tego Antoni niech kijem wycudzi (wytrzepie),

*Krom wielkich panów, przepuścić tym przyjdzie,*

*Bo się im wszystko, to i szaleć zejdzie.*

Owychby raczej wysmarować smolno,

*Co sobie winni, że im nic nie wolno.*

Ale się szczerze wolę wywieść z rzeczy:

Zgoła to w Polszcze oboje nie k rzeczy:

*I wolno wszystko i nic nie być komu.*

Zaczem Antoni—nie przepuść nikomu!!

Pod wierszem tym mógłby się śmiało Węgierski lub Trembecki (szambelan) podpisać.

Lecz wracamy do rękopisów, wprowadzających w błąd naszych wydawców. W jednym z tych rękopisów odszukano „Wety parnaskie“ i uznano je za rzecz W. Potockiego, słusznie; nie zauważono jednak, że główny ich zrąb, pióra Potockiego, otoczony na początku i końcu fraszkami całkiem innego autora, również Podgórczanina (nieznanego nam z imienia), odskakującymi rażąco od stylu i formy Potockiego, a mimo to czerpano z nich i powoływano się na nie, jakby były Potockiego.

Nie uporalibyśmy się też nigdy z wątpliwościami co do autorstwa, gdyby nie wspierał nas czasami jeden i drugi rękopis dobrą informacją. Najważniejszy między nimi ów nieoceniony Wirydarz Poetycki o 1258 stronicach, „wielką i kilkunastu lat pilną pracą wystawiony r. p. 1675“, który rzeczy poszczególnych autorów osobno kładzie, prawdziwa nić Aradny dla wybrnięcia z tego labiryntu poetyckiego. Dalej „Summarius wierszów Morsztyna niegdy poety polskiego“ (Hieronima) i inne. Często jednak zawodzi wszystko i autora odszukać już nie można. Kto napisał np. ów uszczypliwy wiersz „Na Senatory“? mieści się on w zbiorze wierszów Szczęsnego Herburta i wyszedł z jego obozu, ale nie przyznał-bym go nigdy Herbertowi, władającemu stylem o wiele wykwintniejszym. Wspominamy o tym wierszu dlatego, że go często i później przepisywano, choćby częściowo, jakby ogólną jakąś charakterystykę rodów polskich, gdy to tymczasem wylew żółci rokoszanina r. 1606 na panów:

*Zacheusza Tęczyńscy wzrostem naśladowają,  
Maciejowscy hojnością dawno im przodkują,  
Żli jak dyabeł Gostomscy, skąpi Firlejowie,  
A Stadniccy jak i ci mają dyabła w głowie.*

Mniejsza o to, kto autorem tego błahego paszkwilu; nas i zbiór Herbutowski, i zgodność fakcyjna nie skłoniły do przypisania go samemu Herbertowi, lecz podobnych trudności i wątpliwości bywa nieraz i przy cenniejszych rzeczach aż nadto; wszystkich anonimowych wierszy nie rozdzielimy nigdy między właściwych autorów. Mniejsza to jednak szkoda; co gorsza, wiele ciekawych rzeczy zaginęło na zawsze.

Teraz dopiero poznawszy choć w najpowszechniejszym przeglądzie bogate zasoby poezji polskiej, zrozumiemy należycie i ocenimy



słowa np. Morsztyna, któremi około r. 1680 spory zbiór wierszy swoich, zatytułowawszy go „Muzą Domową“, poprzedził. On się wprawdzie nie uważa za poetę, nawet imienia swego przy wierszach nie kładzie, „bo nie mam tej ambicyi, ani mię nęci, albo raczej biesi ów nałóg obrzydły co innych, że byle tylko wiersze pisali po składzie (rymie) ści-ści, go-go; to z nimi do druku, choćby się wiersza, jako mówią, racynie jęli, i choć mizerna Muza skrzypiąc się wlecze jak ruska kolaśka. *A zwłaszcza, że to teraz taki wiek, w którym jest najobfitszy wschód najszcześniejszych geniuszów, osobliwie w poezyi, nie tak, jako było za czasów nieboszczyka starego Reja, kiedy „Panie stary, porzuć czary“ uszło za największy dowcip. Teraz zaś kto i miernie dobry wiersz pisze, nagany nie ujdzie, i kiedy ja czytam cudze, mianowicie Imp. podskarbięgo wielkiego koronnego (Andrzeja Morsztyna), zda mi się, że moje jak karazyja przy szarłacie, i że są takie, jakowego naskiego poety:*

A jam tam stał cały dzień czekając,

Żebym był mógł którego ptaka jąc...

Nie zebrałbym też był tego do kupy, jakoż i siłom tych fraszek popalił, *gdyby nie na prośbę niektórych*, którzy takimi będąc jako i ja pisorymami, podobnymi radzi się zabawiają, i takim też tylko czytać tę książkę pozwalam<sup>1)</sup>—pozwolenie zastrzegął sobie i Trębecki w „Wirydarzu“ (ogrodzie):

A to też zawsze w swej pamięci miewaj,

Że nim do tego wnijdiesz wirydarza,

O pozwolenie wprzód proś gospodarza.

Więc mamy społeczne, najwiarogodniejsze, świadectwo o nad-  
żyzności łańców poetyckich w Polsce siedemnastego wieku. Gdybyśmy

<sup>1)</sup> Zastąpiliśmy zwroty łacińskie, wplatanę w przedmowę, polskimi; dodajemy, Muza Domowa, mieszcząca z górą 10,000 wierszy, spuścizny poetyckiej Zygnewia bynajmniej nie wyczerpała (o czem i sam napomyka); znajdujemy np. w „Wirydarzu“ niejedne jego wiersze, których w Muzie niema, bardzo godne czytania.

## „JULIUSZ II”<sup>1)</sup>

### Nowa książka Juliana Kłaczki.

#### V.

Jest to charakterystycznym rysem dzieła, a i pisarza także, iż o tych wszystkich wyprawach, o tych zawiązywanych i zrywanych traktatach, o tych klęskach i zwycięstwach, o tej całej polityce pióra i polityce miecza za Juliusza II, mówi nam jakby od niechcienia, jakby mimochodem, jakby owszem z lekką ironią, w której się czuje Dantejskie:

„Guarda e passa“

Nie to, żeby Kłaczki bystre oko nie przenikało wszystkich za-dzierzgnięć tej zawiłanej sieci interesów duchownych i świeckich,

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt majowy.

na podręcznikach i na dotychczasowym sądzie ogólnym polegać mieli, nie moglibyśmy zdania Zbygniewa żadną miarą podzielić, musielibyśmy pytać zdziwieni, gdzie ci poeci i ich dzieła? czy to może Grochowski, Zimorowicz albo Gawiński, niezdarne w oczach naszych miernoty? poeci, których wiersza i raki-by się nie jeły? Lecz właśnie tacy ciśnęli się do druku i właśnie o nich mówią nasze podręczniki, a milczą kompletnie o tych, którzy nierównie więcej na naszą uwagę zasługują.

Dotychczasowy sąd nasz o poetach i poezji siedemnastego wieku opierał się ta nielicznych, nie autentycznych, nie właściwych dokumentach; wskazaliśmy teraz źródła, z jakich czerpać winien, ktoby o tej literaturze słusznie orzekać zamierzał. Prawda, źródła te tak rozproszone, że od jednego razu ogarnąć je trudno, a zarazem żywimy niepłonną nadzieję, że prócz tych, z których już korzystaliśmy, znajdą się i inne szczególnie w posiadaniu prywatnem: przecież i „Wirydarz Poetycki“ i „Muza Domowa“ i „Summarius“ Morsztyna, wszystkie najciekawsze zabytki, zjawiły się w rękach prywatnych. Może też uda się nam zachęcić i innych do podobnych poszukiwań: należy bowiem rzucić raz ubite tory, po których dotąd wyłącznie nasze badania się toczyły, krążąc około niewielu, zawsze tych samych autorów i dzieł, jakby poza tymi uprzywilejowanymi wybrańcami same pustki tylko były. Nawet u poetów znanych już, jakby się zdawać mogło, dostatecznie, u Potockiego np. albo u Lubomirskiego, milczą podręczniki nasze o najpiękniejszych i najcenniejszych dziełach. Z rutyną dotychczasową przyjdzie nam zupełnie zerwać, gdyż oprócz niewielu autorów i dzieł, stale potwarzanych, są inni, znakomitsi, liczniejsi, których do pantheonu literackiego koniecznie wprowadzić należy.

A. BRÜCKNER.



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA**  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63



**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

---

W drukarni Józefa Sikorskiego, Warecka 14.



F

6880







F  
6880